

WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK II WIELKOPOLSKA KWIECIEŃ 1932 NR. 4 (7)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

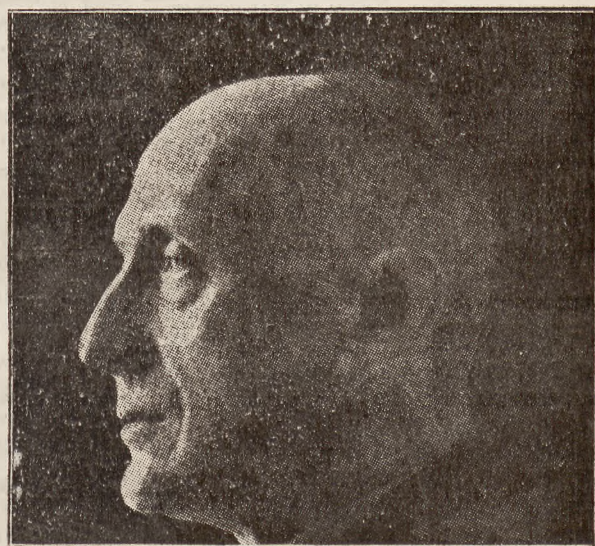
NAJWYBITNIEJSZEMU PISARZOWI
REGJONU KRAKOWSKIEGO
A JEDNOCZEŚNIE
NAJWIĘKSZEMU DRAMATURGOWI
WSPÓŁCZESNEJ POLSKI

KAROLOWI HUBERTOWI
ROSTWOROWSKIEMU

LAUREATOWI PAŃSTWOWEJ NAGRODY
LITERACKIEJ ZA ROK 1931

W HOŁDZIE

REDAKCJA WICI WIELKOPOLSKICH.



MICHAŁ RUSINEK:

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI*)

Rzucona w dniach ostatnich z łamów prasy wieść o nadaniu państwowej nagrody literackiej za r. 1931 dramaturgowi Karolowi Rostworowskiemu obiegła wartkiem nurtem nasze miasto i zapaliła gorącą radość w duszach Krakowian. A więc genjalny talent największego bezprzecznie współczesnego dramaturga polskiego zyskał wreszcie chlubną pieczęć najwyższego w Państwie Polskiem literackiego odznaczenia. Dla Krakowa radość jest tem większa, że po raz pierwszy w Odrodzonej Polsce odznaczono nagrodą państwową literata krakowskiego wbrew dotychczasowemu twardemu zwyczajowi wyróżniania wyłącznie pisarzy stołecznych. Odznaczenie Karola Huberta Rostworowskiego jest wiec ponadto odznaczeniem całego literackiego Krakowa, na który zwrócono wreszcie uwagę.

Żeby poznać warunki, w jakich reprezentant literatury krakowskiej zdobył dla Krakowa mistrzostwo literackie przeglądnijmy protokół z posiedzenia sądu konkursowego. Sąd konkursowy stanowili Goetel, Kaden Bandrowski, Kiedrzyński, Miłaszewski, Pomirowski, Ujejski i Zawisłowski. Poszczególni członkowie jury zgłosili do nagrody następujące książki: „Znaszli ten kraj" Boy-Żeleńskiego, „Niespodziankę" Rostworowskiego, „Jan bez ziemi" Weyssenhoffa, „Popiół i perły" Iłłakowiczówny, „Bogumił i Barbara" Dąbrowskiej, „Śmierć w słońcu" Kossowskiego, „Warszawa" Godlewskiego, „Rok 1863" Wołoszynowskiego i „Dzień jego powrotu" Nałkowskiej.

Kandydaturę „Niespodzianki" postawił nieoczekiwanie zupełnie Juljusz Kaden Bandrowski, który w motywach swego wniosku stwierdził, że z pośród utworów ostatniego trzechlecia klasyczna prostota „Niespodzianki", jej siła w odtwarzaniu tragizmu niedoli ludzkiej, kwalifikuje to dzieło do nagrody państwowej. Do opinji Kadena Bandrowskiego przyłączył się Władysław Zawisłowski, akcentując znakomite walory artystyczne „Niespodzianki" oraz Leon Pomirowski, który podniósł zasługi

*) Artykuł specjalny napisany dla „Wici Wielkopolskich", pióra Michała Rusinka, redaktora Krakowskiej Gazety Literackiej, jednego z najwybitniejszych pisarzy, młodego pokolenia krakowskiego.

pracowitego pisarza oraz scharakteryzował „Niespodziankę" jako jedną z najśmielszych prób w docieraniu do źródeł ludzkiego tragizmu.

W wyniku obrad uchwalono pełną większością głosów przyznać nagrodę Karolowi Hubertowi Rostworowskiemu, przyczem w elaboracie urzędowym zaznaczono jako cechę charakterystyczną nagrodzonej sztuki: niezwykle głębokie ujęcie tragizmu doli ludzkiej przeprowadzone najszlachetniejszemi środkami dramatycznemi".

Przejdziemy teraz pokrótce biografję i bibjografję nagrodzonego dramaturga.

Karol Hubert Rostworowski ur. się w roku 1877 w Rybnej w powiecie krakowskim, gdzie ojciec jego hrabia Joachim był właścicielem ziemskim. Studja gimnazjalne przeszedł autor w gimnazjum św. Anny w Krakowie, poczem oddał się studjom agronomicznym w Szkole Rolniczej w Czernichowie. W latach 1898 do 1899 przeniósł się do uniwersytetu w Halle a. d. Saale a później do Berlina, gdzie studjował głównie muzykę i filozofję. Po ukończeniu studjów i odbyciu szeregu podróży osiadł na szereg lat w majątku Czarkowy nad Nidą, gdzie zaopatrzony w bogatą bibljotekę studjował intensywnie historję a głównie dzieje rzymskie i żydowskie. W roku 1914 zawierucha wojenna przerzuciła dramaturga do Krakowa, gdzie osiadł poeta na stałe.

Twórczość literacką rozpoczął w r. 1901 tomem poezji pt. „Tandeta", w którym skompletował młodzieńcze utwory z czasu studjów uniwersyteckich. Do roku jednak 1906 autor, jak sam mówi, nie miał wogóle zamiaru poświęcić się pracy literackiej. Zamiar ten dopiero zwolna rośnie w nim i tężeje. Pisze poeta dalej sztukę „Żeglarze" oraz poematy „Pro memoria", „Via Crucis", „Marja", „Ante lucis Ortum" i „Saeculum solutum". Twórczości tej jednak oddaje się wonczas według swojego określenia „od niechcenia". To wszystko jego zdaniem nie było literaturą. Literaturę sobie właściwą miał dopiero zacząć. To co siedziało na dnie szlachetnego talentu zaczęło rozpalać się, rość, bić o ściany pełnej entuzjazmu młodej duszy, rozrywać pędem ku wielkiej pracy dotychczasowe ciasne ramy. Mówi o tych narodzinach dramaturga w samym sobie Rostworowski temi słowy:

„Literatura kusiła mnie pomalutku, pocichutku, ale i beznadziejnie zaprzedałem jej ciało i duszę. Teatr! Tak jest, tego od dziecka bezwiednie szukałem i do tego bezwiednie zdążałem dziwnie krętemi drogami. I gdy stanąłem na scenicznych deskach, zrozumiałem, że tutaj chodzi o „być albo nie być".

Na tych zaś deskach scenicznych stanął w roku 1910 po raz pierwszy w Krakowie, w którym to roku teatr miejski imienia Juljusza Słowackiego wystawił dramat Rostworowskiego „Pod górę". Niestety scena, ku której rwał się porywem młodego serca nie przyniosła mu pełnego zadowolenia. Cóż się bowiem stało. Przysłuchajmy się słowom samego autora:

„Ciężkie chwile wówczas przechodziłem. Po tygodniu pierwszych w mojem życiu prób, po tygodniu prawie zupełnego nie jedzenia — co się wykłada: po tygodniu nieludzkiej tremy, będącej wyrazem nieludzkiej ambicji — runąłem jak długi — łyknąłem „Czas", „Nową Reformę" i „Naprzód" — łyknąłem skandaliczne „puchy" na drugiem przedstawieniu nie tyle mojej „Pod górę" ile mojego „Z pieca na łeb' — zrobiło mi się jakoś tak — zamknąłem się na cztery spusty w pokoju — siadłem na fotelu — przesiedziałem już nie pamiętam ile godzin w stanie... nie dającym się bliżej określić... i tylko co chwila, spalonemi jak pieprz suchemi wargami, powtarzałem sobie zdanie Wilhelma Feldmana: „do lat trzech młody autor wystąpi ze sztuką, która będzie..." reszta nie przechodziła mi (i nie przejdzie aż do śmierci) przez gardło.

Czy miał słuszność? niech o tem inni orzekają. Mnie zaś — mówi Rostworowski — niechaj będzie wolno zawołać na cały głos, że był on jednym z tych trzech, którym zawdzięczam życie. Poparł mnie, gdym padał, opatrzył moje rany, gdym krwawił, dodał mi odwagi, gdym wątpił — był dla mnie dobrym samarytaninem, a że być dobrym samarytaninem jest głównem zadaniem krytyka, cześć i cześć jego pamięci".

Dzięki tej pochlebnej krytyce Wilhelma Feldmana, Rostworowski nie zniechęcił się do twórczości dramatycznej lecz przeciwnie z zaciętą pracowitością twórcy wierzącego w swoje siły rzucił się do dalszej pracy. I przychodzi wreszcie w trzy lata potem okres 1913 r. do 1917, w którym to czasie genjalne wprost w ujęciu wyżej prawdy psychologicznej dramaty „Judasz z Kariothu" i „Kaligula" prowadzą poetę na wyżyny talentu. Jak mówią recenzje z tego czasu „sceny polskie szalały za Rostworowskim".

Po „Judaszu" i „Kaliguli" przychodzą dalsze utwory Rostworowskiego Miłosierdzie, Straszne dzieci i Zmartwychwstanie. W dwóch pierwszych sztukach tj. w misterjum Miłosierdzia i w bajce Straszne dzieci prowadzi autor dalej postawione sobie zadanie stworzenia dramatu etyki chrześcijańskiej, zapoczątkowane już częściowo w „Judaszu z Kariothu", przyczem znów głębia tragedji ludzkiej jest podkładem twórczości założenia.

Z kolei przystępuje mistrz do „Zmartwychwstania". Nieprzeparta miłość ojczyzny, głęboki patrjotyzm, zasadnicza linja uczuciowa wieszcza prowadzi go w dziedzinę sztuki fantastycznej, o twardym kościu ideologiczno-narodowym. Tu ku pomocy wezwie poeta dwóch wieszczów narodowych Mickiewicza i Wyspiańskiego, z których wezmie częściowo temat i formę.

W roku 1928 opublikuje poeta fragment nowego dramatu z rewolucji francuskiej i niespodzianie przerwie tę pracę. Oto bowiem rozpryśnie nieoczekiwanie nad nim wielki nabój nagłego pomysłu i dramaturg w błyskawicznym tempie, bo zaledwie w trzy tygodnie, napisze, tym razem prozą, arcydzieło realistycznego dramatu „Niespodziankę".

I tym razem tematem będzie wieczna, niezmienna tragedja doli ludzkiej. Poeta wyszarpie ją poprostu z życia, wypruje z chłopskiej rzeczywistości. Genjalnie ujęta prawda życiowa i prawda psychologiczna będzie bić tym razem ze sceny z nieugiętą mocą. Już się prawie zatraci świadomość, że to jest literatura a nie życie. Zikną granice. Będziemy patrzeć na tę potworną dolę nieszczęśliwego chłopstwa w sposób tak bezpośredni i oczywisty, że ból i zgroza zwycięża miejscami artystyczną kontemplację. To będzie samo życie, twarde, krwawe do szaleństwa

---

Nina Magierowa:

GDY TRZEBA BĘDZIE ZIARNO BRAĆ...

Gdy trzeba będzie ziarno brać
I sakwy przed robotą
I trzeba pójść i trzeba siać
Przeczyste, jasne złoto,

To z Twego spichrza sytna dań
Zapełni mi opończę
I będę siać i będę trwać
Dopóki dnia nie skończę;

A kiedy przyjdzie jesień już,
Na miedzy sobie siędę —
Łaskawa jesień dla mych zbóż —
Ja odpoczywać będę;

A jeśli w Tobie cichy zgon
Mogiłkę mi przeznaczy,
Zamilknie serca śpiewny dzwon,
Skończy się trud tułaczy,

Wiem, żem jest siłą wszelkich zbóż
Zaklętą w imię syna;
Gdy ja swe żniwa skończę już —
On siejbę rozpoczyna.

---

nieszczęśliwe. Wspaniale stosowany realizm psychologiczny będzie ciekł ostro w nas a dynamika scen oszołomi nas do ostatka. Królewski talent mistrza wzniósł się w tej sztuce jeszcze wyżej, ponad poprzednie arcydzieła tj. „Judasza“ i „Kaligulę“.

Brak miejsca pozwoli mi zaledwie wymienić dalszą szukę autora „Przeprowadzkę“, dalej co dopiero wykończony dramat „U mety“, który będzie stanowił ostatnią część trylogji oraz świeżo wydany przez Ks. św. Wojciecha tom świetnych wierszy pt. „Zygzaki“.

Z tego na prędce i dorywczo skreślonego feljetonu poznaliśmy dotychczasowy pomnik zbożnej wartościowej pracy mistrza, który ku chwale współczesnej literatury polskiej i narodu swego postawił.

Kraków.

ZYGMUNT WASILEWSKI:

ZAGADNIENIA „REGJONALIZMU“

Kontynuujemy poniżej druk uwag znakomitego publicysty związanych z zagadnieniami Regjonalizmu, a rozpoczętych rozważaniami wstępnemi w zesz. 6 Wici Wielkopolskich.

Red.

III.

...Kiedy sobie w ten sposób teren zagadnienia przygotujemy, możemy przejść do jego istoty.

Przedewszystkiem, co to jest regjon? Pojęcie geograficzne — nieprawdaż? Ale czy ono sięga do geografji fizycznej? Czy was, gdy mamy na myśli zjawisko życia społecznego, interesuje np. sprawa geologji kraju? Nie, nam bowiem chodzi o ludzi, o ich motywy twórcze w stosunku do ziemi. W każdym razie nie wychodzimy poza antropogeografję. Ale przecież i tutaj obojętne są nam takie rzeczy, jak formalny podział administracyjny obecny, a tem mniej podział, jaki zrobili zaborcy kordonami. Ten ostatni nawet — odwrotnie — pragnęlibyśmy przezwyciężyć, usunąć z tradycji. Tak czy owak nie zdołamy zrobić dla naszego regjonu żadnego wykresu objektywnego. Regjon, jako pojęcie życiowe, bo takie nas interesuje, jest czemś ruchomem, jak widnokrąg. W przekładzie na konkret geograficzny, jest sprawą subjektywną; miara objęcia jest psychiczna tak, jak miara widnokręgu wzrokowa.

Co jest moim regjonem, o tem mi mówi moja dusza. Jeśli się nas zbierze w zespół więcej ludzi z podobnem nastawieniem i objęciem duszy, — będzie to nasz wspólny regjon.

Ale i tu rzecz wymaga ściślejszego określenia. Ludzie cywilizowani mają widnokrąg duchowy otwarty na cały świat, w każdym razie regjonem stałym dla ich duszy jest cały kraj własny. W naszym regjonie, o którym mówimy, jest coś bardziej szczegółowego psychicznie: — jest pierwiastek osobisty przeżyć bezpośrednich, to coś geograficznego, co się narzuca naszej wyobraźni, jako podręczna miara przestrzeni, co obejmujemy wokamigu — sercem. Regjon — to geografja mojego serca osobistego. Tam też jest i historja, mała, z pod serca historja tego kawałka kraju; tam też jest troska o jego przyszłość.

Usuńmy z tego koła, które mienimy regjonem, człowieka, będącego w jego centrze wraz z promieniem uczuciowym, którym on to koło zakreśla, a pozostanie mapa geograficzna, którą możemy dzielić objektywnie na najrozmaitsze części, na siebie zachodzące i nazywać je nawet regjonami, ale to z regjonem, o który nam chodzi, nie będzie miało nic wspólnego.

Regjon, jako czynnik psychiczny w życiu, jest kwestją s t o s u n k u u c z u c i o w e g o człowieka do jego środowiska geograficznego.

IV.

Z tego określenia regjonu wynikają pewne wnioski co do ideologji i praktyki regjonalistycznej. Oczywiście wszystko, co o tem mówię, ma na widoku ludzi cywilizowanych, którzy traktują życie w sensie rozszerzającym je, nie zaś zwężającym, którzy nie uciekają od świata do parafji, widząc w niej swą metę, lecz ten swój kąt geograficzny uważają za punkt wylotu dla swoich aspiracji i za placówkę w systemie ogólnym cywilizacji narodowej, placówkę, względem której mają bezpośrednie obowiązki. Tendencje rozwojowe życia mają kierunek ku górze, idą za popędem ruchu cywilizacyjnego, wciągającego energję twórczą w górne dziedziny ciągle budującej się całości, przeznaczonej dla całego „regjonu“ narodowego i dla stosunków jego z resztą świata. Na tem polega wielka ambicja twórcza, na tem — patrjotyzm czynny. Ale utrzymuję i poddaję to pod uwagę:

czcze są gadania o duszy wielkiej *in abstracto*, gdy jej wielkości nie widać *in concreto*. Nie budzą zaufania aspiracje twórcze na wielką miarę, gdy nie wytrzymują próby rzeczy drobnych i bezpośrednich. Nie wierzę w miłość intelektualną (z wyobrażeń) dla cudzego kraju, gdy jej nie widzę wcielanej w rzeczy najbliższe, lokalne, konkretne.

Bo wszelka inna miłość bez wcielenia
Jest upiorowem myśleniem myślenia...

Cywilizacja nie jest dziełem ludzi teoretycznych, lecz twórczych, a twórczym jest człowiek miłujący. A gdzież szukać próby ludzkiego serca, jak nie w pracy na rzecz środowiska najbliższego, z którem łączą przeżycia bezpośrednio? Tutaj człowiek zdobywa dynamikę swego rzutu w świat.

Rozmaite są motywy psychiczne, które łączą jednostkę (i grupę) z daną miejscowością. Najpospolitszy motyw, kraj lat dziecinnych. Ten nie wymaga uzasadnienia. Silny musi być powód „zżycia się“ przez długotrwałą pracę. Miłość do środowiska rośnie w miarę, im więcej człowiek z siebie mu daje. Ale potężny też bywa zrost uczuciowy wskutek przeżyć uczuciowych natury estetycznej. Mam na myśli artystów, którzy kreują regjony specjalne według pewnych wartości objektywnych, jakie przedstawiają dla artysty wzruszenia artystyczne są skrótami przeżyć tak intensywnemi, że porywają autochtonów, którzy wieki żyjąc w tem otoczeniu, do uświadomienia nie doszli. Mamy przykład na Podhalu, albo na Świętokrzyskiem Żeromskiego.

Takie regjony, stworzone przez artystów, mają swoje życie swoiste przez dzieła, życie jeśli nie lokalne, to narzucone umysłom. Nowogrodzkie żyje od Mickiewicza, Kujawy od Kasprowicza, Ponidzie od Dygasińskiego. Bardzo ważną postacią regjonalizmu są gniazda szkolne, zwłaszcza gniazda szkół średnich. Rozrzucone po całym kraju są one naturalnemi centrami pewnych kolisk regjonalnych. Siła uczuć, która wychowańców z temi miastami i z okolicą wiąże jest tem większa, że to zarazem zwykle miejsce lat dziecinnych.

Stowarzyszenie Kolegów, którzy różnemi czasy te szkoły ukończyli, są najbardziej typowym wyrazem dążeń regjonalistycznych. Widzę w nich doskonały sposób zużytkowania elementarnych uczuć ludzkich na cele kultury społecznej i historycznej, związki te bowiem nietylko są instytucjami samopomocy, ale przędą nić tradycji i wplatają w siebie pokolenia. P s y c h o l o g j a gniazd szkolnych stanowi bardzo poważny czynnik strukturalny w budowie cywilizacji narodowej.

V.

Nigdy nie myślałem, że z tem, co się niegdyś robiło, co było już faktem rzeczowym w rozwoju stosunków,

będę miał po kilkudziesięciu latach kłopot, jak to nazwać. Zdajmy sobie bowiem sprawę z tego, że w obecnych czasach zbyt często wychodzimy z założeń nominalistycznych. Życie „regjonalne" (czy prowincjonalne) należy jako stały fakt do struktury cywilizacji, która przecież nie jest czemś abstrakcyjnem, lecz ma oparcie o ziemię. Cywilizacja jest zjawiskiem w czasie i przestrzeni. Po wszystkie czasy jej żywotność, to znaczy jej organiczność narodowa, znajdowała się w prostym stosunku do udziału twórczego sił rozpierzchniętych po kraju, a z drugiej strony — w czasie — do ścisłości związków między pokoleniami.

Czasy nowożytne tem różnią się w tym względzie od staroświeckich, że inicjatywa społeczna, idąca od sfer oświeconych, zdolna jest uskuteczniać rozmaite formy organizowania sił twórczych. I dobrze jest, że czasy nowsze na te najtrudniejsze pola prowincjonalne baczniejszą zwracają uwagę, a nawet specjalną nazwę dla niej znajdują. Nie można jednak w tych poczynaniach pomyśleć na serjo czegoś, co byłoby przeciwne naturze pracy cywilizacyjnej, trwającej od wieków, od czasów choćby wprowadzenia chrześcijaństwa.

A więc za pracę twórczą regjonalną uważać należy tylko tę, która jest wewnętrznie, z najgłębszych pobudek moralnych, zamierzona na zasilenie cywilizacji ogólnej narodu. Za punkt wyjścia może ona brać wszystko, co budzi w jej ludziach wolę twórczą przez ożywianie jej uczuciami przywiązania do swego zakątka, przez ambicję współzawodnictwa o lepsze z innemi regjonami, przez szczególne wzruszenie, jakie daje ocena wartości skarbów piękna w przyrodzie, czy w dziedzictwie historycznem. Wszelkie osobliwości lokalne, czy odrębności z tego stanowiska są wartością, którą wola twórcza regjonu dobywa z ukrycia i wznosi na wyższy szczebel użytkowania i wartościowania cywilizacyjnego. Do tej kategorji należą w rzędzie osobliwości przyrody i jej darów — — odrębności etniczne, które zbogacają cywilizację narodu.

Na wszystko znajdzie się miejsce w wielkiej cywilizacji i wszystko może być przez nią właśnie obrócone na pożytek regjonu.

Praca regjonalna ma sens rozwojowy tylko wtedy, jeżeli jest dopływem do „wiernej rzeki" dziejowej narodu, jeżeli nie przeradza się w parafjańszczyznę, a co gorsza, w separatyzm, lecz uważana jest za szczebel w budowie ogólnej. Psychika pracy regjonalnej gdyby nic innego do życia cywilizacji nie wniosła, jak tylko to co jest jej podstawą, — miłość ziemi i entuzjazm tworzenia, — już spełniłaby swoją misję. Cywilizacji bowiem narodu potrzeba do życia ciepła, nie tylko światła, potrzeba tych wartości, jakie przynosi życie konkretne umiłowania czegoś, konkretne wcielenie. Inaczej będzie ona chłodnem i ciągle improwizowanem, „upiornem myśleniem myślenia". —

Warszawa.

MARJAN TURWID:

AUTOBUSEM CZY — — ZAKLĘTĄ KARETĄ?

Nie zapomnę nigdy tej cudownej podróży na Krym. Minęło wiele lat a przecież do dziś doskonale pamiętam:...

Wpłynąłem na suchego przestwór
Oceanu
Wóz nurza się w zieloność
i jak łódka brodzi
Śród fali łąk zielonych, wśród
kwiatów powodzi . . .

„Wóz" — gdzież tam wóz! To była jaśniepańska, poszóstna karoca. Sonety Adama Mickiewicza. I te sonety i moją podróż czarującą przypomniała mi mała niebieska książeczka. Od kilku dni leży na mojem biurku. Wygląda — nie to „ubogo", ale jakoś tak — „niepozornie". Odrazu widać, że nikt nie dbał o jej szatki, nie zastanawiał się nad jej wyglądem, nie wypieścił jej kart. Nie o wyrafinowanie graficzne tu idzie, o blichtr, pompę i pozory, jakże często maskujące pustkę. Ale o smak, o to tajemnicze, drobne, „tanie" a jednocześnie tak cenne „coś", co czasem u najuboższej dziewczyny, rozporządzającej groszami na „stroje", każe nam podziwiać zdolność estetycznego ubrania się.

Nad „Międzyrzeczem"[1]) Stanisława Helsztyńskiego, nad tym zbiorkiem wielkopolskich sonetów „regjonalnych", nie czuwała troskliwa ręka któregoś „Kuglina". Książkę „zrobił" zecer a nie grafik. Zecer uczciwie zrobił swoje i nie jego to wina, że książka wygląda z prostacka, że nie nęci, nie kusi,



STANISŁAW HELSZTYŃSKI

nie zmusza do jej rozwarcia, nie raduje wzroku obrazem czcionek, kształtem stronnic, nie cieszy palców rodzajem papieru i nie wabi miękkim szelestem ostrożnie przerzucanych kart. Niezachęcający wygląd i narzucające się wspomnienie niezapomnianej krymskiej podróży sprawiły, że tak długo pozostawiałem „Międzyrzecze" na uboczu.

Aż dopiero rozciekawił mnie do książeczki podtytuł, ujmujący w parantezie nazwy trzech wielkopolskich miast: Chodzież, Czarnków i Oborniki. Tak się złożyło, że dotąd nie poznałem ani jednego z nich. Mam przed sobą całą wolną godzinę. Możeby tak skorzystać z nadarzającej się okazji i odbyć małą wyprawę?

Autor jest uprzejmy. Zaraz na wstępie dwoma pierwszemi tytułami swych sonetów zapytuje, jakiego zamierzam użyć środka lokomocji. Proponuje „Autobus" albo — „zaklętą karetę". — Nie znoszę autobusów. Na białych wstęgach naszych dróg, te tak liczne, wielkie, niezdarne, hałaśliwe i trzęsące się pudła przykro przekreślają czystą linję pejzażu, zakłócają ciszę pól i zaśmiecają powietrze chmurą wzniecanego pyłu. Stanowczo wolę „zaklętą karetę". O niej wiem, że nie potrąci ona zadumanych nad drogami drzew, że brutalnie nie rozerwie dzwoniącej ciszy, że dyskretnie i tylko o zmroku przesunie się szpalerem alei. Księżyc, stary romantyk, będzie

WŁADYSŁAW MOTTY:

RYSUNKI

Z TEKI ZAPOMNIANEGO ARTYSTY WIELKOPOLSKIEGO





jej przewodnikiem, a jedynem towarzystwem ciche, srebrne gwiazdy.

A tymczasem . . .

— — Ledwom usiadł okazało się, że — wybrałem fatalnie. Że „Zaklęta kareta" Helsztyńskiego to nie — — sonety Mickiewicza. Co chwila na „planet zegarze" „zahamował się bieg kół". „Jahwe Elohim gniewał się i drgał w mgławic kłębie". — „Kosmos" „błyskał w żarze" i „zgrzytał okropnie". . . wysiadłem co prędzej. Stanowczo wolę już jechać autobusem i choćby w najgorętszy dzień, byleby bez towarzystwa tych wszystkich „orszaków serafów", i nie przez „płynne meteory" i „mgławic kłębie" ale po prostu: . . .

„Z Białośliwia przez Chodzież
do samego Ujścia."
„Ludziska z tobołami jadą, każdy z troską"
„tamci do zajęć spieszą, a ja mam wakacje,
„dążę sobie gdzie zechcę,
ot przed siebie, prosto".
„Rozpieram się w fotelu..."
„i przez okno oglądam
każdą chatę w biegu",
„żaden ważny nie ujdzie
mej uwagi szczegół".

Niepokoi mnie tylko ten „każdy ważny szczegół". Straszna rzecz wpatrywać się w byle kamień przydrożny, potrącać baczną uwagą o pierwszą lepszą barjerę czy mostek.

Allan Kosko:

ŻYWIOŁ

Przewala się bez plusku i szmeru,
Jedynie biernością potężna
Zielonością kieruje wieczny ster,
Prąd prężny.

Treść jej — powietrze.
Treść twarda — zawsze ta sama.
Na globie ziemskim jasnym mleczem
Rozlana plama.

Z nieba, czy z ziemi bijąca,
Suszą, burzą, lodem i potopem,
Tętnieniem jest, żywiołująca —
Wszechświata okiem.

Jest życiem naszem i naszą śmiercią.
A kiedyś po gwiezdnych schodach
Naszą kulę pchnie Bogu w pierś
Woda.

Tak łatwo te „ważne" szczegóły mogą przesłonić sobą obraz „całego" pejzażu. A o „całość" krajobrazu przecież idzie. A na taką całość nie złoży się „każdy ważny szczegół" ale tylko kilka starannie i odpowiednio wybranych. A tymczasem autor na tyle drobiazgów od razu zwraca moją uwagę. Zadręcza mnie wprost szeregami nazw, objaśnieniami i informacjami. Chce bym wszystko zobaczył, a w rezultacie nie widzę prawie nic. Mówię „prawie", bo od czasu do czasu, mój przewodnik i towarzysz podróży oczarowany pięknem krajobrazem, wstrzymuje potok powiedzeń i tylko rzuca kilka dobrych, trafnych słów. Wówczas miło jest siedzieć obok niego i jego „Autobusem", jak „Zaklęta kareta" „lip rzędem" zajechać aż na:

„Wielki, okrąglakami brukowany rynek",
„kilka starych kamiennic, gmachy,
plac, gimnazjum."

i zaraz minąć rynek, minąć miasto, bo:

„dworzec, fabryka, ulice oko rażą"
„jak piramida każdy przytłacza budynek"...

i dopiero

„Nad karczewnika brzegiem,
Bolymki błękitem
„kiedy opuszczę mury. . ."

i kiedy „igliwem upojony jodeł srebnolitem" — —

„dopiero czuję się, jak rzeźwa młodzież".
„Wzrok w zieloności czystej
z lubością się nurza"
„iczarującą, piękną wydaje sięChodzież."—

Ale autobus nie czeka długo. Już rusza dalej. Jedziemy do Ujścia. Ponoć uroczo jest położone to małe, ciche gniazdo. Słyszałem nieraz, jak z zachwytem mówiono o pięknie okolic miasteczka. Jedźmy więc, by

zachwycić się także. Niestety — nie zobaczyłem nic prawie. Towarzysz mój oświadczył wręcz:

„czem innem... umysł mój zajęty cały,"
„ponad równiną siną mgieł bieleje płachta"
„widzę — przed Szwedem blada
chyłkiem czmycha szlachta." —

I tak już wciąż. Zamiast krajobrazów Stanisławskiego czy choćby Filipkiewicza jakieś „batalistyczne" płótniska Żeby to jeszcze akwarele Juljusza Kossaka czy płótna Michałowskiego. Nie — jakieś straszliwe „machiny historyczne", na których tłoczą się i „Jowisz Statos", i „Kazimierz Waza" i Hieronim Radziejowski i Kromwell i wielu innych, a wszyscy na tle Tarpejskich skał, Termopil itp.

Trudno. Nie zobaczyłem Ujścia. Więc już tylko proszę: jedźmy co prędzej nad Noteć, w okolice Czarnkowa. Autor zgadza się, ale znowu w drodze raczy mnie obficie historją, rozwodzi się szeroko nad „Jankiem z Czarnkowa", opowiada o „Karolu Gustawie", o „Poległych w Rosku" (tu nie bez głębokiej, szczerej nuty w głosie), aby nareszcie, w nagrodę za cierpliwość, roztoczyć przede mną ciekawą, szeroko malowaną „Panoramę" „Szwajcarji czarnkowskiej".

„Gdy tu na góry wejdziesz,
na moreny bracie,"
„gdy okiem na faliste lądów
rzucisz szczyty,"
„jary potoków i las, pnący się w błękity"
„sądzisz w ułudzie, że pod tobą
Podkarpacie".

Wprost uwierzyć trudno, aby wydarzyć się mógł, w krainie naszych równych Dolin taki pejzaż. Uwierzyć jednak trzeba, bo Helsztyński zaczyna mówić dziwnie przekonywająco i szczerze, gdy zapewnia:

„wsiądź w pociąg Bzowo – Goraj,
jedź na grzbiety wzniesień,
przeskakuj głębię, w las zapadaj, panoramę
podziwiaj wód Noteci, łęgów, nową bramę
przebijaj w stromej skale, a pełen uniesień
przyznasz, żeś w kraj jakiś wpłynął
czarodziejski,
że wiew tu inny, widok nowy, czar —
alpejski".

Widzę, widzę kraj czarodziejski, gotów jestem nawet uwierzyć w „wielkopolskie Podkarpacie", ale stanowczo razi mnie ten „czar alpejski". Dość dobrze znam mego towarzysza[2]), więc wiem jak łatwo ponosi go przesada. Lecz mimo to jadę z nim dalej i jadę coraz chętniej. Coraz więcej przewodnik mój zdobywa się na bezpretensjonalny, prosty ton, coraz częściej i na coraz to dłużej zamienia się jego „Autobus" na „Karetę" szczerej poezji. Miniemy Oborniki, Bęblin, Objezierze, ba nie zatrzymają nas nawet ostatnie kartki niebieskiej książeczki. Szerokim łukiem objechawszy krainę Wielkich Dolin przystaniemy dopiero przed spiżowemi drzwiami gnieźnieńskiej katedry[3]). Tu, u tych wspaniale rytych w bronzie wrót, na pożegnanie mówi mi Helsztyński:

„Chciałbym by słowa moje
miały wagę taką,
tak przykuwały widza i w takie go wnętrza
wprowadził, jak drzwi te, sezamowe wrota.
Za ciało męczennika król dał wagę złota
ja — (zwierza się mój towarzysz z cicha
i tak wzruszająco szczerze
„dałbym dziesięć, gdyby wola nieb
najświętsza
pozwoliła mi ryć tak pieśni mojej zakon".
— — — — — — — — — — —

[1]) Stanisław Helsztyński — „Międzyrzecze". Szamotuły.

[2]) St. Heltszyński — „Gostyń w Pieśni", „Sonety Inowrocławskie", „Na Pałukach".

[3]) „Spiżowe drzwi katedry" z cyklu „Gniezno i ziemia gnieźnieńska". „Wici Wielkop." nr. 6/1932.

ADAM DYTKIEWICZ:

O REGJON NADNOTECKI

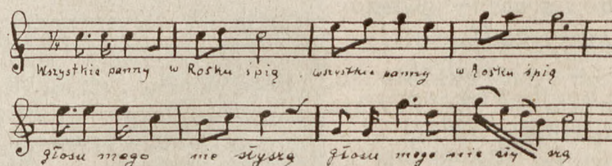
Wielkopolska poza swemi szaremi, równemi polami nie jest jeszcze odkrytą. Jej śpiące regjony budzą Wici, wydobują drogie skarby kultury Wielkich Pól. Wielkopolska — wiele winna kulturze ogólnopolskiej.

Jeżeli rzucimy okiem na regjony naszej ziemicy, dotykamy zaległych prac kulturalnych, dotykamy zaniedbań, nawet licznych dziś jednak, w dobie zmienionych warunków zaniedbania te nie powinny być powodem narzekań, lecz źródłem wzmożonej pracy regjonalnej.

Zwracając oczy ku Noteci, niech mi wolno będzie rzucić kilka myśli, w odniesieniu do bogactwa nadnoteckiego regjonu. Już na ławie szkolnej wypowiadaliśmy żale, i żale słuszne: dlaczego nie wyzyskuje się odpowiednio malowniczego położenia dla propagandy krajoznawstwa? Chodzi tu o okolicę czarnkowską, niezmiernie bogate źródło motywów i tematów dla artysty malarza.

Wiele tworzywa do badań historycznych nagromadził bieg linji dziejowej. Cmentarzyska słowiańskie koło Roska, Gulcza, Mikołajewa, Wrzeszczyny, Białężyna, aczkolwiek w większości zbadane, dostarczać mogą dalszych cennych materjałów. Różnica klimatyczna, charakterystyczna flora (brzoza karłowata, okolice Piłki) ptaki, nie występujące w innych częściach Wielkopolski, rzucają wiele surowca na warsztat badacza — przyrodnika.

Niezbadana pieśń ludowa, choć różnorodna — powoli zanika. Trzeba uchronić ten skarb od zagłady. Chodziłoby zatem o zbieracza. Że okolica czarnkowska posiada odrębne właściwości regjonalne, świadczy n. p.: pieśń ludowa z Roska, pow. czarnkowskiego:



1. Wsyskie panny w Rosku śpiom, wsyskie panny w Rosku śpiom, głosu mego [nie słysom.
2. Aby jena nie spała, głosou mego souchaua,
3. Gdzieżeś była dziewecko,
4. Byłam ja w ogrodzie u mej mamy na radzie.
5. A cus cie tam radzili, ciebie Jasiou ganili.
6. Ze ty pijok pijocek, po tych nocach bomblujes.
7. A co komu do tegou,
8. Włozył copkę na jucho, zoustań z Bogiem dziewuchou.
9. I wżóu copkę przewrócił, i już więcej nie wrócił.

Oto pieśń z ust ludu mazurskiego, który zamieszkuje połowę zachodnią czarnkowskiego powiatu. Spotyka się tu warjanty różnych pieśni, które słyszymy w inn. częściach Wielkopolski.

Odłogiem leżą przyczynki do djalektu. Na ziemię tę zwrócić trzeba baczną uwagę. Aczkolwiek pług badań naukowych przeorać winien każdy regjon Wielkich Pól, tu jednak w odłóg ten, najrychlej wyprowadzić go trzeba. Idzie tu o poznanie wszystkich wartości kulturalnych, a wartości te wiąże ogromnie.

KRONIKA POZNAŃSKA

Minęły dni radosnych, wiosennych świąt, a z niemi kwarantanna „świątecznych porządków". W związku z tem warto sobie przypomnieć, że nie zachował się u nas zwyczaj, przez „kulturalne" Gretchen na naszych oczach niegdyś uprawiany, polegający na przewracaniu codziennie w innym pokoju — porządku rzeczy. Ten anachronizm się nie utrzymał, ale nie

było znane dotąd (do chaosu „Dwutygodnika Liter.") niewłaściwe zachowanie się: aby goście przewracali dom gospodarzy; bo zawsze jeszcze gospodarze czują się panami u siebie i nie pozwalają aby odwiedzający goście, albo zgoła niezgrabne intruzy, zdejmowali firanki, myli i froterowali podłogi, a może nawet w sypialniach pluskwy wytruwali i wybijali.

A w ten mniejwięcej sposób zachował się w Wielkopolsce „Dwutygodnik Literacki", po trochu dwutygodnik i po trochu literacki. Przeznaczyłem już dla niego mały nekrolog, który, z powodu ukazania się po dłuższej przerwie nowego numeru wspomnianego pisma, odkładam chwilowo (przypuszczalnie nie na długi czas). Niemniej zajmę tym „Dwutygodnikiem" przez chwilę uwagę czytelników. Krótki jego byt (raczej chaos jeszcze) posłużyć może za przestrogę dla przyszłych młodych i niedoświadczonych (niekoniecznie nieokrzesanych) „kulturtraegerów", i być zarazem wzorem, jak się nie powinno redagować pisma kulturalnego (nie mówiąc już o literackiem). Myślę o redakcji, która na trzy nogi chromała; bo poza werbowaniem wcale zresztą tęgich piór z całej Polski jak długa i szeroka, i ustawianiem ich (przypadkowem) obok siebie, ograniczała się do wsadzania sękatego kija do mrowiska i do niszczenia, nic nowego nie wnosząc. Stąd nikt nie mógł i nie będzie brał „Dwutygodnika" poważnie; i po swoim krótkim żywocie zostawi częściowo niesmak i zapełni dalszą pozycję w rubryce: Ruch niekulturalny Wielkopolski.

Z temi porządkami to my sami sobie damy radę; mamy także oczy do patrzenia, uszy do słyszenia, ponadto mózg i serce do zrozumienia i odczucia; sami siebie lepiej odczujemy, zrozumiemy i skrytykujemy.

Życie toczy się niezmiennie w dalszym ciągu; grupa poetów poznańskich należąca do współzałożycieli „Dwutygodnika" ale i do pierwszych secesjonistów jego, wydała u Kuglina tłoczony (starczy za wszelkie pochwały) miesięcznik „Prom", poświęcony poezji i problemom teoretycznym z nią związanym.

O rocznicach i jubileuszach nie zapomniano. Jubileusz Weyssenhoffa uczcił Poznań przez wydanie jego dzieł zbiorowych (u Wegnera) a Wyczółkowskiego przez „Księgę Pamiątkową" i wielką wystawę jego prac. Rocznicę „soplicowskiego malarza" Orłowskiego uczciło Muzeum Wlkp. wespół z Tow. Miłośników Grafiki za pomocą wystawy urządzonej w gmachu Muzeum Wlkp.

Podziemie Muzeum, dzięki zapobiegliwości p. dr. A. Brosiga, żyje odrębnem życiem, wystawę wystawą przegania, gdy w górnych kondygnacjach panuje iście muzealny konserwatyzm i niezmienność.

Wystawy współczesnych malarzy w Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych... nie cieszą się prawie wcale.

Teatry robią bokami, czyli że słuchacze chyłkiem z teatru uciekają; jest to wina tych co uciekają, ale i tych co na scenie zbyt płaskie farsy klepią. Nie wszystko jest jak „Maman" podczas Pewuki „do wzięcia". Ostatnio Romeo i Julja w Teatrze Polskim, poprawiła reputację tego teatru; nie można nie wspomnieć tutaj o „liście otwartym" Witolda Noskowskiego do młodej braci aktorskiej grającej Szekspira w sposób zmanierowany z powodu zbyt częstych na scenie teatru polskiego „przeboi"; słusznie podkreśla autor, że do dobrej gry aktorskiej, obok talentu, nauki potrzeba. — K. Junosza - Stępowski ożywia swemi coraz to innemi i różnemi kreacjami scenkę Teatru Nowego, a w Wielkim, scenę operetkową ożywiają... rzadko wystawiane opery.

P. S. Kroniki poznańskie poświęcone będą kulturalnemu i „kulturalnemu" życiu Poznania, aby „kulturalne" stało się kulturalnem, aby zamiast kapryśnego polítykierstwa i innych bolączek, na ich podłożu, zakwitł kwiat nowej kultury, ostoja nowych prądów i dążności, a być może odrodzenie i nowy okres życia; czas już wyjść z mgławicy, z błędnego koła codziennych aktualności, z zaściankowatości, poza najbliżej widoczny horyzont, zasłaniający świat. Naszym celem, czy osiągalnym — czytelnicy stwierdzą, jest i będzie konsekwentne przebijanie... głową muru, albo jak kto woli, rzucanie grochem o ścianę, czyli walka o nowe wartości w życiu artystycznem i kulturalnem tzw. przez Beotów „Beocji".

Janusz Deresiewicz.

Z BYDGOSKIEJ GŁUSZY

KORESPONDENCJA O ŻYCIU KULTURALNEM, KTÓREGO NIEMA

Bydgoszcz, w kwietniu.

Bydgoszcz jest dziwnem miastem. Statystycznie nawet wielkiem. Ma wszelkie dane rozwojowe. Bardziej nawet pod względem kulturalnym niż gospodarczym. A jednak się nie rozwija. Systematycznie śpi. Snem człowieka sprawiedliwego wprawdzie ale bardzo ordynarnego. Gdy go kto chce obudzić, obrusza się i patrzy źle na intruza.

Najpoważniejszą placówką kulturalną na naszym gruncie, rozciągającym się po obu brzegach cierpliwej rzeki Brdy, jest Teatr Miejski. Spełnia ważne zadania i przechodzi różne koleje. Bastjon polskości i sztuki, nie tyle czystej, co stosowanej do okoliczności, wyrasta ponad środowisko, będące konglomeratem najrozmaitszych elementów, zbiegłych w czas powojenny z wszystkich krańców Polski.

Teatr na kresach — to zagadnienie niejednokrotnie przegadane. Zdawałoby się, że wszyscy powinni wiedzieć, jakie są prawa i obowiązki takiej instytucji. A jednak jest inaczej. Cała kwestja tonie w powodzi komunałów, ale to wszystko niema nic wspólnego z realnemi wymogami życia.

Polska Bydgoszcz nie zawsze miała szczęście do dyrektorów teatru. Bo dobry kierownik takiej placówki kulturalnej musi mieć dwie kardynalne zalety: poczucie odpowiedzialności artystycznej łączyć ze zmysłem organizacyjnym i handlowym. Od kilku lat mamy dyrektora mniejwięcej idealnego. Nie znaczy to, żebyśmy wobec p. Władysława Stomy nie mieli poważnych zastrzeżeń. Obserwacja jego działalności wskazuje, że jego orjentacja w stosunku do powierzonej mu placówki idzie coraz bardziej w kierunku kupieckim. P. Stoma z każdym rokiem rezygnuje z aspiracyj artystycznych. Usprawiedliwia go; częściowo zresztą tylko, kryzys i charakterystyczne dla Bydgoszczy kołtuństwo zainteresowań.

Bo publiczność bydgoska, nie można narzekać, chodzi do teatru. Przyzwyczaiła się do tego. Ale cóż, chodzi tylko na operetkę. Nawet farsa zdaje się być dla niej za mądrą. Tłumaczy się to tak: za ciężkie czasy, żeby próbować myśleć. Wobec takiego stanu rzeczy dyr. Stoma zajmuje pozycję najwygodniejszą. Przystosowuje się z talentem. Dramat jest coraz słabszy. Prowadzony bez planu, z dnia na dzień. Siły zespołu komedjowego, angażowane pod kątem widzenia oszczędności budżetowych, przedstawiają się, zwłaszcza w materjale kobiecym, zdecydowanie mizernie. Doszło do tego w bieżącym sezonie, że niema kim obsadzać sztuk. Cały repertuar opiera się na młodziutkiej wodewilistce Nicie Wilińskiej, która wyrósłszy z okresu „cudownego dziecka", okazała się pierwszorzędnym talentem aktorskim, przed którym otwiera się prawdziwa karjera.

Cały nacisk położony jest na operetkę. Choć i tu fałszywie podjęte oszczędności prowadzą do poważnych nieporozumień artystycznych.

Powiedzieliśmy już, że dyr. Stoma jest dobrym kupcem. Artystą niewątpliwe też. Zanadto świetnym był i jest aktorem, aby nie rozumieć roli teatru w mieście kresowem. Że ugiął się przed fatalną, bydgoską atmosferą i poszedł na kompromisy z publicznością, — można wyrozumieć. Mówi się: aby żyć!

Obecnie kończy się kontrakt dyr. Stomy. Upłynął okres, w życiu Teatru Miejskiego niewątpliwie jeden z najpiękniejszych. Bo mimo naszych objekcyj, uważamy obecnego jego kierownika za fachowca pierwszorzędnego, nie wielu równych mającego w Polsce. Tymczasem w związku z likwidacją sezonu postąpiły sobie bydgoskie czynniki miejskie bezceremonjalnie i, co tu dużo mówić, nieinteligentnie. Potępiono bezapelacyjnie obecnego dyrektora i odsądzono od wszystkiego. „Geszefciarz" — orzekli ludzie godni i aby przyszli kandydaci na teatr jeszcze bardziej geszefciarsko musieli prowadzić odpowiedzialną placówkę — odebrali subwencję. To było nieporozumienie na wielką skalę. Że komuś nie podobał się dyr. Stoma, że ktoś zazdrościł mu przypisywanych w opinji publicznej sukcesów materjalnych — zgoda. Różnemi bowiem drogami chodzi myśl ludzka. Ale to bynajmniej nie upoważniało do podcinania bytu, jak dotąd dobrze dającego sobie radę z kryzysem, teatru i do wysadzania w zatęchłe powietrze twierdzy kultury polskiej. I o ile dyr. Stoma bezwzględnie dobrze zasłużył się Bydgoszczy bo nauczył ją chodzić do teatru, ci, którzy przeciw niemu występowali, mało chwalebne wystawili sobie świadectwo. *Testimonium paupertatis* podpisze każdy, kto myśli trzeźwo i rozsądnie.

*

Z nikłych zjawisk kulturalnych Bydgoszczy kwestja teatralna wybiła się na pierwszy plan ze względu jej powszechności. Na innych frontach notoryczny zastój. Wszelkie próby poruszenia zastygłej kałuży kończą się przeważnie niewielkiemi rezultatami.

Znaleźli się ludzie dobrej woli, którzy zaprojektowali i wykonali nawet coś nowego. „ŻywyDziennik" zainteresował t. zw. inteligencję, która pracowicie oklaskiwała dowcipne feljetony i wogóle lżejsze części programu. Przy poważniejszych utworach nudziła się bez żenady. Ale dobre i to! Może przy systematycznej uprawie zakwitną jeszcze kwiaty na ugorze (gorszym, niż ten poznański p. Pappée'go).

Drugi numer poświęcono Weyssenhoffowi, aby uczcić 40-lecie jego pracy pisarskiej. Urodziny jego były bolesne i skomplikowane. Jak to w małem miasteczku — wyszły zaraz różne prywatne kwestje, podejrzenia wzajemne o postronne tendencje i zaściankowa polityka. „Dziennik" mimo to się udał.

*

Muzeum Miejskie rozwija się przedziwnie, jak na te warunki. Ma jednak załamania, świadczące, że czynniki artystycznie niekompetentne decydują. Mottego tu się nie zna i nie uważa się za godnego bydgoskiej galerji. Natomiast urządza się wystawę robótek kobiecych Co nie znaczy, że grafika p. Gerżabek-Małachowskiej jest naprawdę wartościowa.

H. B. Trzecieski.

REGENZJE

pod redakcją prof. Alfonsa Szyperskiego

ŁZA GORYCZY

Mieczysław Dereżyński, poezje liryczne. Szamotuły 1932. Druk J. Kawalera.

Z niezwykłem na dzisiejsze czasy obliczem jawi się Dereżyński — poeta. Już tytuł zbiorku, pod którym różyczka z zielonemi listkami, każe nam przypuszczać piewcę łzawego, narzekającego na los i ludzi. Istotnie widzimy skłonność do jednostronnej refleksji, do ubolewania nad marnością tego świata, do smętku zadumy. Pobudkę czerpie poeta z Psalmów, tu źródło jego lamentów, smutku a nawet pesymizmu i goryczy. Słowem płaczący to Heraklit lub cierpiący de Vigny, jeśli godzi się tak wysoko sięgać. Forma dość wyrobiona, gładka, płynna. Wpływy — oczywiście — Słowacki, Tetmajer, Kasprowicz itd. trochę może francuscy romantycy. Wogóle autor to zmodernizowany romantyk. Język, zwłaszcza słownik starszy literacki, przystępny więc dla każdego.

Jest tedy Dereżyński konserwatystą, bo jakże daleko wyprzedzają go dzisiejsi najmłodsi poeci: techniką wiersza, brawurą formy i skarbcem języka. Nie znaczy to, byśmy chwalili dziwaczną często przesadę i sztuczność u najmłodszych — chcemy jednak być umiarkowanymi postępowcami, bo wymagają tego czas i jego postulaty.

Oby się jednak znaleźli czytelnicy skarg poety szamotulskiego, co przypominają romantyczną jeszcze czujość nerwów i grają na uczuciach ludzkich jak tytuł owej starej, pięknej zresztą fugi organowej: Troski, płacze, żale to Chrystusa łzawy chleb. — **A. Szyperski.**

GAZETA LITERACKA

Wydaje „Gazetę" Związek Zawodowy literatów polskich w Krakowie, a redaguje Komitet redakcyjny: **I. Kudliński, K. Czachowski, M. Rusinek i J. A. Gałuszka.** Pismo jest miesięcznikiem. Ostatni zeszyt (7) poświęcony jest **Karolowi Hubertowi Rostworowskiemu** laureatowi państwowej nagrody literackiej za rok 1931, (długoletniemu prezesowi Krakowskiego Związku Literatów). Na piękną i interesującą całość składają się artykuły Gałuszki, Kudlińskiego, Rusinka i Czachowskiego. Sam K. H. Rostworowski pisze „O kryzysie teatralnym" oraz publikuje fragment z 1-szej odsłony niewykończonego jeszcze dramatu p. t. „Czerwony Marsz". Zeszyt zdobią ciekawe fotografje z inscenizacyj dramatu Rostworowskiego w teatrze krakowskim. Całość i wartościowa i umująca. Witamy prawdziwie polskie pismo literackie serdecznie i życzymy „Gazecie" krakowskiej najdłuższych lat owocnej pracy. A już najwyższy czas, że Kraków współczesny zdobył się na tego rodzaju wysokowartościowy czyn kulturalny. Inaczej łatwoby można przypuścić, że ten dawniej tak bujny ośrodek artystyczny zdobywa się dziś już tylko na przeróżne „Dodatki literackie" i „Detektywy". Na szczęście obecny wysiłek Zawodowego Związku Literatów nawiązuje godnie do wielkich krakowskich tradycyj. Należy mu się też jak najszczersze i wydatne poparcie. (mat.)

POSIEW LITERACKI

Poznań. Rok I. Nr. 1.

Powstawanie coraz to nowych pism, coraz bledszych i bezprogramowych jest charakterystycznym objawem dzisiejszej doby. Wolimy dwa dobre, zdecydowane czasopisma, niż cztery efemerydy, co dziś wegetują, jutro zamierają! Nienaturalny to objaw, nawet śmieszny. Szanujemy wysiłki, powstałe oddechem głębokim, na szerszą i dłuższą metę obliczone lub nikłe zaczątki z jasnym, poważnym programem. Porównajmy dawn. czasopisma: szereg lat wychodzące, zasłużone z dzisiejszemi. Znów tedyż nowość! Numer pierwszy wprawdzie narzeka na niski poziom czytelnictwa, na biedę autorów, wydawców, księgarzy i zecerów, ale sam nic nowego nie przynosi, dla kogoż więc trud i pocóż? Gdzie cel? Wszak sam prawi (str. 4) o „utworzeniu pewnego rodzaju koncernu wydawniczego". Ależ zgoda! Strona sprawozdawcza dość obfita, dość zawiera rzeczy znane, część redakcyjna niewyraźna... z lapsusami. Lapsusem jest pisanie jakoby Wasylewskiego. Na końcu języka („jedyna w swoim rodzaju książka międzydzielnicowa" — sic!) oddawała bezcenne usługi językowe w Polsce wszystkim regjonom razem. Jakie to usługi? Właśnie te „bezcenne" rozdziały o „języku" są — jak wiadomo najsłabszą stroną książki! Owe zaś rozdziały nie „międzydzielnicowe" (!) są pierwszorzędne. Druk pisma nieczysty! as.

PROM

I. 1932. Poznań.

Pisać recenzje, w utartem znaczeniu, z poezyj twórców początkujących jest rzeczą mało wskazaną. Iluż to wybitnych krytyków nie poznało się na pierwocinach talentów poważnych, ileż to miernot wypowiedziało się „przypadkiem" o nich dość trafnie! Powiedzmy więc krótko i ogólnie: Prom przeczytaliśmy z zainteresowaniem i witamy go życzliwie. Wieje z niego świeżość formy i treści, widać w nim harce piór na drogach (język i budowa) i bezdrożach (często: sens), walkę o własną treść. Posiada jej najwięcej — zdaje się — Kapuściński i Przyłuski, szuka dróg Kosko, zdolny niewątpliwie. Względnie konserwatywnym jest Morski. Reszta tomu — od Sekcji logiki mniej przemawia nam do przekonania — oby redakcja w przyszłości takiej mikstury uniknęła Szata zewnętrzna bardzo dobra, jakżeż jednak ortografja chaotyczna! (polak np. — tak piszą moderniści? — a la konserwa warszawska — a w innych wyrazach pisownia najnowsza! — gdzież konsekwencja?). — S.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. **Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł.** Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05. „WICI" otrzymywać można we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy. **W KSIĘGARNIACH:** Poznań, Jan Jachowski, Księg. Uniw. — Bydgoszcz, Idzikowski — Kraków, D. E. Friedlein — Gdynia, M. Niemierkiewicz — Gniezno, J. B. Lange — Inowrocław, St. Knast — Ostrów, Mieloszyński, w Środzie Księgarnia Rogalska Administracja Nowej Gazety. **REDAKCJA:** Poznań, Chwaliszewo 15/16 3 p. pr., Przedstawiciel redakcji przyjmuje w poniedziałki i czwartki od g. 4—5 (Plac Wolności 10 m. 13). Bydgoszcz ul. T. Kościuszki 18 m. 8. Września Sekretarjat Redakcji i Administracji ul. Poznańska 6. Konto P. K. O. Poznań 200.057. — Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni.